GONIEC

Dziennik dla Wszystkich illustrowany, i nie illustrowany.

Nr. 7. **Lwów.** **Rok X.**

Wychodzi dwa razy na miesiąc. — Nadto, wszyscy prenumeratorowie „Gońca" otrzymują bezpłatne dodatki, oraz czasopismo humorystyczne illustrowane „Iskra". Prenumeratorom miejscowym wszystko odseła się do mieszkania.

Za odnoszenie dopłaca sie 5 *ct. miesięcznie* roznosicielowi.

Prenumerata „Gońca" wynosi wraz z dodatkami i „Iskrą":
tak we Lwowie, jak i na prowincji (z przes. poczt.):

rocznie	8 zł. — ct.
półrocznie	4 „ — „
kwartalnie	2 „ — „
miesięcznie	— „ 70 „

W Poznańskiem i Prusach, oraz w Niemczech 4 marek kwartalnie. — we Francji i we wszystkich innych krajach, oraz w Ameryce 5 fr. kwartalnie, które przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych, stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie, przy ulicy Ossolińskich l. 10 od frontu ul. Cichej, gdzie się przyjmuje prenumeratę, ogłoszenia. Prenumeratę przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych f r a n c o pod adresem: Do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse. A. Oppelik Stubenbastei, Rotter et Comp. I. Riemergasse 13, Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarji: Haasenstein et Vogler; w Paryżu biuro anonsów pułkownika Raczkowskiego Foubourg Poissonier 32; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa. W Frankfurcie nad M. Daube et Comp.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski**



DR. KAROL TEODOR BERTHLEFF

Rysowane podług fotografji Trzemeskiego. Patrz życiorys na drugiej stronicy.

Dr. Karol Teodor Berthleff.

(Do portretu).

Wśród grona naszych miejscowych lekarzy, jedno z pierwszych miejsc zajmuje od lat 50 bez przerwy na naszej niwie pracujący doktor wszech nauk lekarskich: Karol Teodor Berthleff. O ile miejsce to mu przynależy, okaże się z dalszego ciągu niniejszego szkicu, którego nie możemy nazwać życiorysem, gdyż dr. Berthleff nie stoi dziś jeszcze u kresu swej karjery zawodowej i społecznej, a przekonani jesteśmy, że zanim go dobiegnie, wiele jeszcze o nim i działalneści jego do powiedzenia pozostanie.

Dr. Berthleff urodzony w r. 1809 w Kimpolungu na Bukowinie, uczęszczał w początkach do szkół w Czerniowcach; tu skończywszy filozofję, w r. 1828, a więc mając lat 17, pojechał do Wiednia, gdzie wstąpił do instytutu sądowego „Josefsacademie". Nie podobała mu się jednak i nie przypadała do jego usposobienia i wyrabiającego się dopiero, a już z natury niezawisłego, charakteru, uniżona służalczość, jaką podówczas uczniowie tego zakładu swoim przełożonym okazywać byli zmuszeni, wystąpił więc z instytutu i zapisał się na medycynę, którą skończył w r. 1833, zarabiając na utrzymanie swoje, udzielaniem prywatnych lekcyj, gdyż, jako syn niezamożnych rodziców, otrzymywał tylko nader skromny i niewystarczający nawet na opędzenie, chociażby połowy najkonieczniejszych potrzeb, zasiłek. W owym czasie jednak, nie płacono za lekcje tak, jak się to dziś praktykuje, to też młody Berthleff mimo całej swej oszczędności, nie zdołał uzbierać sobie kwoty, potrzebnej na opłacenie taksy, za złożenie doktoratu, musiał więc wyjechać z Wiednia, z ukończonym, wprawdzie, fakultetem medycznym, jednak bez dyplomu. Udał się na Bukowinę i tu przez dwa lata pracował z zaparciem, składając grosz do grosza, a w wolnych chwilach, których niewiele mu pozostawało, przygotowując się do egzaminu. Na początku r. 1836, miał już złożoną całą taksę egzaminową, to też nie tracąc czasu, pojechał do Wiednia napowrót i osiągnął stopień doktora medycyny. Natychmiast po otrzymaniu patentu, został młody lekarz wysłanym do Siedmiogrodu, gdzie wówczas grasowała cholera, której i on uległ w Bistritz. Dzięki staraniom tamtejszych lekarzy, zdołał Berthleff uniknąć śmierci i będąc rekonwalescentem, otrzymał pozwolenie powrotu do kraju rodzinnego. Wprost z Siedmiogrodu przyjechał dr. Berthleff do Lwowa i tu wstąpił, jako sekundarjusz do szpitala powszechnego. Zanim jednak jeszcze zdołał złożyć potrzebną przysięgę, został już ponownie wysłany dla leczenia cholery do Sącza, gdzie pozostawał aż do wygaśnięcia epidemji. Od tego czasu przebywał dr. Berthleff ciągle we Lwowie i chociaż sam niezamożny i początkujący lekarz, nietylko codzień poświęcał wiele czasu bezpłatnemu leczeniu chorych, ale często przychodził im z pomocą, jak to poświadcza wiele osób żyjących. Zdarzyło nam się np. słyszeć wdowę po urzędniku sądowym, panią T., której mąż w r 1864 w Winnikach pod Lwowem ciężko zachorował. Dr. Berthleff wezwany do konsyljum z dwoma innymi lekarzami, z których tylko nazwisko dra. Muscha pozostało nam w pamięci, widząc, że choroba głowy rodziny pochłonęła już nietylko szczupłe zasoby i bez tego nie bardzo zamożnej rodziny urzędnika, nie dość, że nie przyjął należnego mu honorarjum, ale nie wziął zwrotu kosztów za przyjazd, a w dodatku leczył odtąd p. T. dobrowolnie i przyjeżdżał do Winnik nie biorąc i grosza od rodziny. Jest to jeden z wielu przykładów, jak dr. Berthleff pojmuje swoje powołanie, jako lekarz. Nasuwa nam się tu jednak pod pióro, inny przykład donioślejszy, bo świadczy, jak zacny ten człowiek, spełnia obowiązki, chociażby dobrowolnie przyjęte na siebie.

W r. 1865 został dr. Berthleff wysłany przez rząd austrjacki do Petersburga dla zbadania panującej tam podówczas epidemji, uważanej w początkach powszechnie za dżumę azjatycką.

Epidemja była straszna, pochłaniała setki tysięcy ofiar; dr. Berthleff przyjechawszy na miejsce, został w czterdziestu dwóch szpitalach epidemicznych, ośmnaście tysięcy chorych. Badania swoje opierał nietylko na tem, co widział na miejscu, lecz jeździł nie szczędząc trudów zwykłą kibitką po okolicy, dotarł aż do miast gubernialnych Nowogrodu i Wołogdy i zjeździł w szerz i wzdłuż obie te gubernie; był o 42 mil tylko od Archangielska i poznał najdokładniej przestrzeń między jeziorami Onegą i Ładogą. Po tak dokładnem badaniu, zaopiniował nasz lekarz, że choroba nie jest dżumą, lecz, że to tyfus połączony z powrotną febrą, na co ogólnie się zgodzono.

Ukończywszy badanie i przesławszy za pośrednictwem ambasady swoje sprawozdanie do ministerstwa we Wiedniu, zabierał się już dr. Berthleff do podróży z powrotem, gdy otrzymał nowe polecenie austrjackiego rządu — dano mu mianowicie zbadanie przyczyn tej epidemji. Zbadanie samo niebyło trudnem, ale wypowiedzenie otwarte owoców badania, było niebezpiecznem dla człowieka przebywającego, chociażby tylko chwilowo w Rosji. Przyczyną epidemji straszliwej było, jak to z badania dr. Berthleffa widać, niesłychane niedbalstwo samego rządu rosyjskiego. Rok przed epidemją, panowała zaraza na bydło i konie, księgosusz i nosacizna — zaraza była tak wielką, że wyginęło w skutek niej, przeszło sto tysięcy zwierząt. Cała ogromna ilość padliny, nie została, jak to się zwykle w podobnych rzeczach praktykuje, zakopywaną w miejscach odległych od mieszkań ludzkich, ale padłe zwierzęta zwożono i to po zdjęciu z nich skóry, do Newy i kanałów pokopanych w tamtejszych bagnach. Dopóki mróz zasklepiał je lodem, skutków z tego niedbalstwa nie było; gdy jednak i z wiosną odwilż nastała, lody puściły, wszytka padlina wypłynęła na powierzchnię wody i niedość, że wyziewy z niej zatruły powietrze na wiele mil w około, ale jakże mieszkańcy samego Petersburga i okolicy musieli to odczuć, nie posiadając nawet do picia innej wody, jak z Newy, która chociaż jest destylowaną, przecież nie zdołała się pozbyć szkodliwych miazmów zupełnie. Wszystko to, cośmy powyżej przytoczyli, spisał dr. Berthleff w swojem sprawozdaniu i takowe doręczył ambasadorowi austrjackiemu, które to stanowisko piastował wówczas hr. Rewerta. Ten, odczytawszy sprawozdanie, oświadczył drowi. Berthleffowi, że dla osobistego bezpieczeństwa tego ostatniego, nie wyśle jego sprawozdania do Wiednia, gdyż, jak sam hrabia się wyraził, gdyby rząd rosyjski dowiedział się przypadkiem o treści sprawozdania, postaranoby się niewątpliwie o to, aby dr. Berthleff nie oglądał więcej światła dziennego. Nie przeraziło to jednak sumiennego lekarza, chociaż znając ówczesne stosunki w Rosji wiedział, że postąpienie z nim takie jest bardzo możliwem, a i dowiedzenie się o treści tego pisma nie było niepodobnem — odrzekł jednak ambasodorowi, że innego sprawozdania nie napisze, gdyż takowe musiałoby się mijać z prawdą i zawieść położone w nim zaufanie ze strony rządu austrjackiego. Sprawozdanie zatem pierwotne doszło do ministerstwa, a dzięki przezorności hr. Rewerty, dr. Berthleff powrócił do Lwowa bez szwanku. Postępek ten nie potrzebuje dalszych komentarzy — to też poprzestajemy na prostem opowiedzeniu go.

Odtąd, pozostaje do dziś dr. Berthleff stale we Lwowie. Po powrocie z Petersburga, był on prymarjuszem i dyrektorem szpitala powszechnego — obecnie zaś zajmuje się tylko praktyką prywatną i jest, jako jeden z naszych najzdolniejszych lekarzy, nader wziętym. Mimo wieku sędziwego, dr. Berthleff zawsze jest gotowym na każde zawołanie i o każdej porze dnia, czy nocy, aby nieść pomoc cierpiącym bliźnim, bez uwagi na to, czy tenże jest zamożnym, by uiścić mógł honorarjum, czy też ubogim, od których dr. Berthleff nic nie przyjmuje. Co dzień też spotkać można w mieszkaniu tego zacnego lekarza, pełno ubogich chorych, których już od pół wieku, nie tylko chętnie i z całą troskliwością leczy, ale często i ochotnie przychodzi im z pomocą. W lecie ubiegłego roku, obchodził dr. Berthleff pięćdziesięcioletnią rocznicą swojej praktyki lekarskiej we Lwowie. W dniu tym, składali mu życzenia korporacyjnie, lekarze miejscowi, reprezentacje szpitali, Wydziału krajowego i inne — tylko reprezentacja miasta Lwowa nie była obecną na tej uroczystości. Dlaczego?... Czy tłómaczyć to sobie zapomnieniem? A w takim razie należałoby zapytać, jakim to sposobem można zapominać o zasługach człowieka, który przez pół wieku dla dobra miasta pracował i pracuje i, czy to ciału tak poważnemu, jak reprezentacja stolicy kraju przystoi i wolno tłómaczyć się niepamięcią. w podobnych wypadkach — ale jakże pochopną jest taż sama reprezentacja do krytykowania publicznego czynności i uchwał innych reprezentacyj miejskich, chociaż nie stołecznych...

Takie postępowanie może tylko zniechęcać młodych lekarzy, z których wielu usiłuje wstępować w ślady dr. Berthleffa i jemu podobnych ludzi, gdyż on sam, jakkolwiek niezawodnie czuł mocno taki brak uznania z tej strony, zkąd się najwięcej go miał prawo spodziewać, będzie i nadal tak samo postępował, jak dotąd, mając sobie za największą nagrodę pracy, własne wewnętrzne przekonanie, że spełnia swoje obowiązki, tak sumiennie, jak tylko człowiek uczciwy spełniać je może. To też należy mu życzyć serdecznie i szczerze, aby jeszcze długo zachowała go Opatrzność w czerstwem zdrowiu, dla cierpiącej ludzkości.

J. J.

W Noc Maskaradową.

Powieść z francuskiego

przez

AUTORA „STAROŚCI LECOQU'A".

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 5).

Gaston wzruszony szukał i nie znajdował odpowiedzi, a margrabina, bez żadnego przejścia, rzekła zupełnie innym tonem:

— Bardzo dziwna jest historja tego zabójstwa. Co panowie o niej myślą? Zapewne byli panowie na tej maskaradzie?

— Ja byłem margrabino — odpowiedział Nointel. — A nawet widziałem na maskaradzie i poznałem..

— Kogo? — spiesznie spytała margrabina, gotując się do obrony.

— A tę biedną Julję Dorcival, w chwili gdy szła po schodach. Trochę później widziałem ją w loży i naturalnie nie przypuszczałem, że ztamtąd żywa nie wyjdzie. Więcej nic, a nic nie wiem, ale jenerał Simankas mógłby pani powiedzieć więcej. Cały wieczór siedział w loży sąsiedniej.

— Cóż to za jenerał Simankas?

— Jakto, pani go nie zna? Jedliśmy z nim razem obiad i mówił nam, że miał zaszczyt być dzisiaj u pani. To jenerał peruwiański.

— A... tak, o czemże ja myślę? Zapominam nazwiska dawnych przyjaciół. Pana Simankas znam już od wielu lat i rzeczywiście był u mnie dzisiaj, ale więcej od pana nic nie wie... nic mógł mi też powiedzieć, czy winną jest panna Letereuil.

— A! już zaczynają — dodała — także przyjemność! nie możemy już rozmawiać. Ten czwarty akt jest zachwycający, ale ja go nie znoszę. Marsz za poważny jest dla mnie. A kiedy Jan z Leydy idzie miarowymi krokami przez scenę, zawsze mi się zdaje, że widzę margrabiego Barankosa podczas uroczystej procesji do kościoła w Havannie podczas świąt wielkancenych. Ale, panowie, zapewne przyszli do teatru dla muzyki?

— Tak, dla muzyki — odpowiedział kapitan.

— To panom przeszkadzać nie będę odjadę. Teraz zawsze już śpię o jedenastej, a dziś zrana o dziewiątej pojechałam już do lasku bulońskiego. Lokaj mój jest na korytarzu, może panowie będziecie łaskawi po drodze powiedzieć mu, ażeby zawołał karetę.

Nointel i Darcy już wstali.

— Spodziewam się, że się zobaczymy wkrótce — mówiła dalej margrabina. — Pan poluje?

Pytanie zwrócone było do kapitana, który wprost odpowiedział:

— Tak, margrabino.

— To będę miała przyjemność widzieć pana u siebie na polowaniu w Sandoville. Dobra moje mają tę zaletę, że dużo w nich zwierzyny, a strzelcy przygotowują już wielkie polowanie. Napiszę do panów, kiedy dzień będzie już obrany i liczę na panów niezawodnie.

Tym razem zaproszenie było dla obu, ale Darcy się wymówił, a jego odmowa nie bardzo, jakby zmartwiła margrabinę. Nointel przyjął zaś, lecz bez szczególnej skwapliwości i wraz ze swym przyjacielem pożegnał margrabinę. Teraz wiedział już dosyć.

Pokojówka.

Nazajutrz już o dziewiątej rano, Nointel przyszedł do Gastona i oczekując na pokojówkę Julji Dorcival rozmawiali o zebranych wczoraj wiadomościach i wrażeniach, z których ciągle wypływały podejrzenia, padające na margrabinę, gdy wszedł lokaj i oznajmił, że przyszła Marjetta.

Ubrana była elegancko w ciemną suknię. Kapitan spojrzał na nią badawczo i bojąc się, ażeby Darcy wzięciem się swem wszystkiego nie popsuł, pierwszy wszczął rozmowę:

— Siadaj, moja kochana, tutaj nie służba.

A odgadłszy, że przyjaciela dziwi taka poufałość, dodał, zwracając się ku niemu:

— Mój drogi, kiedy kto służył w huzarach, zawsze mówi ty pokojówkom.. a zwłaszcza ładnym. Założę się, że Marjecie bardzo się to naturalnem wydaje, że mówię do niej ty.

— A jakże panie kapitanie — odpowiedziała uśmiechając się Marjeta.

— A teraz, powiedz nam Marjeto, kiedy pogrzeb twej biednej pani?

— Pogrzebem zajmuje się przyjaciółka pani, pani Risler, niech tam, co chcą o niej mówią, zawsze to kobieta z sercem... Oznaczyła pogrzeb na godzinę jedenastą jutro. Boję się, że bardzo mało kto będzie i, gdyby pan Darcy przyszedł...

— Przyjdziemy, moja kochana — rzekł Nointel pospiesznie — i może nie sami. Pani twoja miała wielu przyjaciół?

— O! nie, proszę pana. Odkąd się poznała z panem Darcy, zerwała ze wszystkimi dawnymi znajomymi i przyjmowała tylko kobiety. Od czasu śmierci hrabiego, było u niej tylko dwóch mężczyzn i pani przyjęła ich tylko dla tego, że przychodzili od p. Darcy'ego, i jeden rzeczywiście przychodził w jego imieniu.

— W mojem imieniu!? — zawołał Gaston. — Mylisz się, ja nikogo nie posełałem do Julii.

— A jednak ten doktór zapewniał panią, że...

— Co za doktór? — przerwał Nointel.

— Doktór Saint-Galucier... cudzoziemiec... ten, co leczy na choroby nerwowe.

— A kto był ten drugi?

— Także cudzoziemiec. Jakiś jenerał Simankas.

— A doktora? jakże przyjęła?

— Lepiej, niż jenerała, bo go miała za przyjaciela p. Darcy'ego. Obiecał nawet przyjść nazajutrz i powiedzieć co o panu, ale już-eśmy go więcej nie widziały.

— To szczyt bezczelności! — wyszeptał Darcy.

— Więc ci panowie, proszę cię, Marjetto, tego samego dnia byli?

— Tak, i prawie jednocześnie. Zaledwie jenerał odszedł, zaraz przyszedł doktór.

— Wątpliwości nie ulega, że Julję zamordowała kobieta. Dlaczego ją zabiła? Niech mnie djabli porwą, jeśli się domyślam.

— A ja wiem — podchwyciła pokojówka. — Zabiła panią, ażeby pani nie mogła mówić. Pani wiedziała, że ona ma kochanka i jednem słowem mogła ją zgubić; jabym to na pani miejscu zrobiła, ale pani była za dobra. Miała u siebie w ręku listy, pisane przez tę łotrzycę do jej kochanka, i chciała jej zwrócić na maskaradzie, zamiast wezwać ją do swego mieszkania. I musiała je oddać, bo ich nie znaleźli przy niej. Wtedy łotrzyca ta musiała sobie powiedzieć: tak, listy mam już u siebie, ale pani Dorcival może powiedzieć, że ja nie jestem uczciwą kobietą, jaką się wydaję. Zabiję ją, to będzie pewniejsze. I zabiła ją, zbrodniarka...

— A zkąd wiesz, że pani Dorcival, idąc do opery, wzięła z sobą listy?

— spytał kapitan, spojrzeniem prosząc Darcy'ego, ażeby się nie wtrącał.

— Widziałam je, proszę pana. Przecie ubierałam panią na maskaradę.

— A nie wiesz, czyje to były te listy?

— Nie, pani mówiła to tylko, co chciała powiedzieć, a nie lubiła, ażeby ją kto wypytywał, co oczywiście nie przeszkadzało mi się wielu rzeczy domyślać. Tego dnia naprzykład, kiedy pisała do tej łotrzycy, nic mi nie powiedziała, a przecie wybornie zrozumiałam, o co chodzi. Słuchajcie panowie! Było to, jak raz, we wtorek, nazajutrz po śmierci hrabiego Vanderwelda, tego dnia, kiedy chodzili ci dwaj cudzoziemcy. Pani czekała na pana Darcy... bo wciąż się jeszcze spodziewała, że powróci. Po godzinie piątej już straciła nadzieję. Zadzwoniła na mnie, kiedy weszłam do buduaru kończyła pisać adres na liście, a prócz tego na stole przed nią leżały inne listy i bilet do loży. Wtenczas kazała mi odnieść list i oddać go koniecznie wprost do ręki tej, do której był adresowany i zauważyć dobrze, jaką minę mieć będzie przy czytaniu i w każdym razie przynieść odpowiedź, przyczem pani dodała, że zapewnie odpowiedź będzie tylko ustna, bo ta osoba zanadto jest dumna.

— A! — zawołał Darcy ucieszony — to ona, to margrabina.

— A co ci odpowiedziała ta księżna? spytał Nointel, niemniej zadowolony od przyjaciela — musiałaś się zapewnie z nią widzieć?

— Tak, widziałam się z nią i odpowiedziała mi: „dobrze, proszę powiedzieć pani Dorcival, że będę". A ma pan słuszność nigdy żadna księżna nie przyjęłaby mnie dumniej; chociaż daleko jej do księżnej, a nawet do margrabiny.

Słowa te były dla Darcy'ego wiadrem zimnej wody. Myślał że Marjeta mówiła o margrabinie, to też rozczarowanie było zanadto dotkliwe.

Nointel niemniej przykro był uderzony bo spodziewał się w końcu opowiadania Marjety usłyszeć nazwisko margrabiny Barankos.

Co się tyczy samej Marjęty, wyobrażała sobie bowiem, iż wiedzą o kim mówi. Darcy był krewnym sędziego śledczego powinienby był wiedzieć o całym przebiegu śledztwa, i kiedy poprzedniego dnia rzekła doń przed bramą sądu, że zna winowajczynię, miała na myśli Bertę Letereuil.

Tymczasem kapitan zastanowił się, że nie należy dać jej do zrozumienia, o co chodzi i że można jeszcze dowiedzieć się od niej jakich szczegółów ciekawych.

— Czy dużo było tych listów, które, jak widziałaś, zabierał pani z sobą, jadąc na maskaradę? — zapytał.

— Bardzo dużo... a były uporządkowane... podzielone na paczki i związane różowemi wstążeczkami.

— Panna Letereuil musi być wielką amatorką pisania, kiedy zagryzmoliła tyle papieru.

(C. d. n.)

NADESŁANE.

Od kilku lat istniejąca pracownia krawiecka, we Lwowie przy ul. Leona Sapiehy l. 4. niniejszem ma zaszczyt donieść Szan. Publiczności, iż wszelkie zobowiązania, jak dawniej, tak i nadal wypełniane będą z największą sumiennością i akuratnością. Uczciwą pracą i pilnością, pragnę sobie zaskarbić względy i poparcie Szanownej Publiczności tembardziej, że praktykowałem i pracowałem w najpierwszych zakładach krawieckich.

Z powierzonych mi materyj wykonuję wszelkie roboty, w zakres krawiectwa wchodzące, podług najnowszych żurnali

(1—2) Z poważaniem

Michał Herbst.

Nie ma to jak stare firmy, bo na rzetelności się postarzały. Do takich należy właśnie firma **F r a n c i s z k a U n d e r k i**, a chociaż źli ludzie szkodzić jej chcieli i dołki pod nią kopali, sami w nie powpadali, a firma, jak stała w poważaniu i wziętości, tak stoi teraz i nadal stać będzie zdrowo. Ale bo też, gdzie są lepsze delikatesy masarskie, jak u **U n d e r k i** — wiedzą o tem wszyscy, którzy chcą zjeść smacznie i dobrze. Nigdzie też nie ma tak wielkiego odbytu, jak w sklepie **U n d e r k i**, a jak jest duży odbyt, to i towar musi być lepszy, bo jest świeższy.

(4138-1-1)

Piekarnia Franciszka Bieleckiego

we Lwowie, ulica Mydlarska l. 4.

Wypieka najlepsze i najzdrowsze pieczywo, odznaczające się przytem wybornym smakiem. Czystość w piekarni wzorowa, a rzetelność znana właściciela, daje całkowitą gwarancję. (4140-4-1)

NADESŁANE z RADYMNA.

Niżej podpisana Spółka powroźnicza w Radymnie, która w dniu 14-ym Lutego b. r. aktem notarjalnym spisana została, uprasza Wielmożnych Panów właścicieli dóbr i Szanownych Zarządów, by raczyli swojemi łaskawymi, a licznemi obstalunkami, zaszczycić nas niżej podpisanych, a zadaniem naszem, jest wszelkie w skład powroźnictwa i sietnicwa wchodzące wyroby, jak najlepiej i z najlepszego przędziwa wykonywać możemy tem więcej za nasze wyroby poręczyć, że są dobre, ładne i trwałe, bo najbardziej wydoskonaleni powroźnicy, należą do składu naszej Spółki powroźniczej.

Naszem zadaniem jest udowodnić Towarzystwu powroźniczemu w Radymnie, że niemamy na celu zdyskredytowania nikogo, jak o tem Towarzystwo powroźnicze w swem sprawozdaniu, umieszczonem po dziennikach i w swym cenniku głosi, gdyż jesteśmy dalecy od takich zamiarów, nie licujących wcale z godnością spółki — nie do uwierzenia, a jest rzeczywistą prawda, że ludzie wykształceni stojący na takiem stanowisku, tylko prawdą, uczciwością, dobrym przykładem nie szkodzenia nikomu postępować powinni, a tu dzieje się przeciwnie. Dyrektor Towarz. powroźniczego w Radymnie, ksiądz Leon Pastor, stara się wszelkiemi siłami i rozmaitymi sposobami szkodzić nam rzemieślnikom, cośmy o własnych siłach, bez żadnych funduszów krajowych, zawiązali „Spółkę powroźniczą w Radymnie“ — stara się ciężko zapracowany ten kawałek chleba nam wydrzeć, głosi po dziennikach i czerni w najgorszy sposób, a nawet i nie zaniechał szkodzenia nam tu w miejscu, bo ujął sobie p. pocztmistrza w Radymnie, tak, że korespondencje, przychodzące pod adresem „Spółki powroźniczej“, wydawał urząd pocztowy do rąk Towarzystwa powroźniczego, lub zwracał nadawcom, czem zmuszeni byliśmy donieść o takich nadużyciach do Wys. c. k. Dyrekcji poczt we Lwowie.

Wiele mielibyśmy do wytknięcia faktów złego postępowania ze strony Towarzystwa powroźniczego, a szkodzenia naszej Spółce powroźniczej, lecz ufni jest śmy w pomoc Bożą, że sprawa dobra, przy uczciwej i rzetelnej pracy, teraz, czy później zwycięztwo odnieść musi.

W głębokiem przeświadczeniu, że rzucone na nas oszczerstwa i kłamstwa, ze strony Towarzystwa, są tylko wypływem zawiści, usilnie starać się będziemy rzetelnem postępowaniem i dobrocią towaru uzyskać i nadal łaskawe względy Wielmożnych Panów właścicieli dóbr i Szanownych Zarządów, których dowody, poparcie i życzliwości mieliśmy już dotąd, i których jedynie uważamy za kompetentnych do bezstronnego ocenienia naszej pracy.

Na żądanie, wysyłamy cenniki naszych wyrobów darmo i opłacane, a które są o 10 prc. na wszelkich wyrobach tańsze, jak ceny w Towarzystwie powroźniczem, z powodu zakupna przędziwa w większych ilościach, dajemy opustu 5 prc.

Adresować prosimy: **„Spółka powroźnicza: J. Burgilewicz w Radymnie“.**

Polecamy się nadal łaskawym względom.

Piszemy się z głębokiem poważaniem.

Spółka powroźnicza: J. Burgilewicz.

O niestrawności. Organa czyniące spożytą żywność dla ciała użyteczną, są naturalnie największej wagi dla niego, każda przeszkoda w czynności tych organów, umniejszenie, alteracja i zatamowanie ich czynności, rodzi chorobliwy stan mniejszego, lub większego rozmiaru. Przez złe trawienie cierpią jelita. Jeśli we właściwym czasie nie zaradzi się należycie, przychodzą rozmaite choroby, jak niedokrewność, bladaczka, ociężałość członków, brak apetytu, kwaśne odbijania, bóle żołądka, jelit, szczególnej w dolnej części, obstrukcje, dyarje, wzdęcia, wychudnięcie, cierpienia wątroby i żółciowe. W tych wypadkach bywają przez wielu lekarzy zalecane, jako najlepszy środok pigułki szwajcarskie aptekarza R. Brandta (w aptekach po 70 ct. pudełko), gdyż są przyjemnym pewnie i nieszkodliwie działającym środkiem (3998—12—1)

Na skład instrumentów muzycznych i strun, pod firmą **J. K a p r a l i k a** we Lwowie ul. Skarbkowska l. 6. — zwraca się uwagę interesowanej publiczności — jest to magazyn obficie zaopatrzony we wszystko, co muzykowi potrzeba i po cenach bardzo przystępnych. (4127-4-2)

OGŁOSZENIA

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo Fr. Ks Kowaliszyn. Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem J. Mittiga.